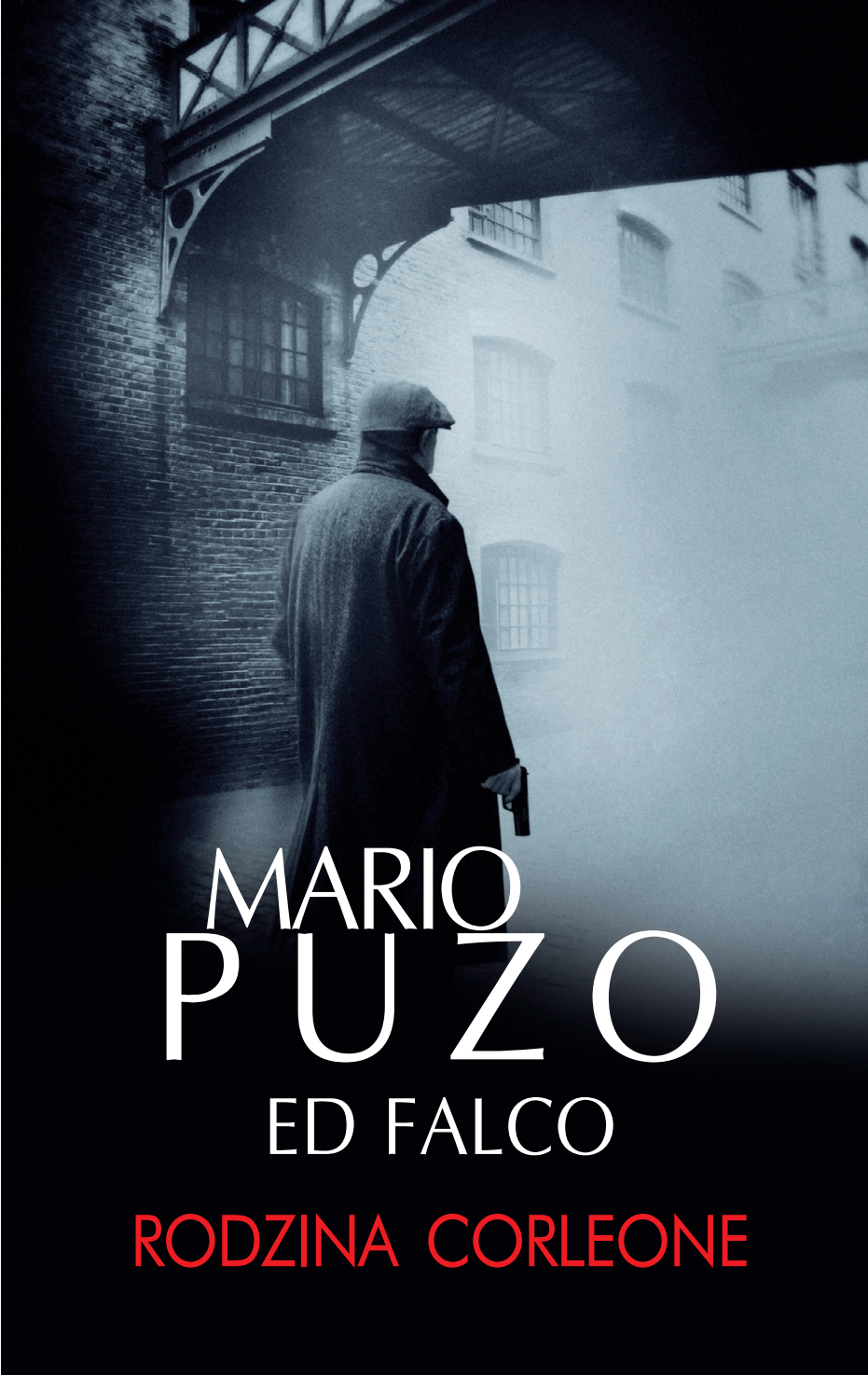


A black and white photograph of a man in a trench coat and cap walking away from the camera down a narrow, foggy alleyway. The alleyway is flanked by brick buildings with arched windows. The man is holding a gun in his right hand. The fog is thick, obscuring the buildings in the distance.

MARIO PUZO

ED FALCO

RODZINA CORLEONE

JESIEŃ 1933

1

Giuseppe Mariposa stał przy oknie, z rękoma opartymi na biodrach i oczyma utkwionymi w Empire State Building. Żeby zobaczyć szczyt budynku, przeszywającą jasnobłękitne niebo, podobną do igły antenę, nachylił się i przytknął twarz do szyby. Oglądał wcześniej, jak wieżowiec piał się ku górze, i lubił opowiadać chłopakom, że był jedną z ostatnich osób, która jadła obiad w starym hotelu Waldorf-Astoria, wspaniałym gmachu stojącym niegdyś w miejscu, gdzie teraz wznosił się najwyższy budynek świata. Po chwili cofnął się od okna i strzepnął kurz z marynarki.

Ulicą, w stronę skrzyżowania, jechał furgon ze śmieciami, na którego koźle siedział postawny mężczyzna w roboczym drelichu. Trzymając na kolanie czarny melonik, potrząsał sfatygowanymi skórzanymi lejcami nad grzbietem łękowatego konia. Giuseppe popatrzył w ślad za furgonem, a kiedy zniknął za rogiem, wziął z parapetu swój kapelusz, przycisnął go do serca i przyjrzał się swemu odbiciu w szybie. Włosy miał już siwe, lecz nadal gęste i mocne. Odgarnął je do tyłu, poprawił

węzeł krawata i wyprostował go tam, gdzie wybrzuszył się lekko nad kamizelką. Za jego plecami, w mrocznym rogu pustego mieszkania próbował coś powiedzieć Jake LaConti, lecz Giuseppe słyszał tylko jego gardłowe mamrotanie. Kiedy się odwrócił, do mieszkania wszedł Tomasino i począł przez pokój z brązową papierową torbą w ręce. Chociaż Giuseppe sto razy powtarzał mu, żeby używał grzebienia, Tomasino włosy miał jak zwykle w nieładzie — i jak zwykle mógłby się ogolić. Był taki niechlujny. Giuseppe zmierzył go pogardliwym spojrzeniem, którego Tomasino oczywiście nie zauważył. Miał rozluźniony krawat, rozpiętą koszulę i krew na pogniecionej marynarce. Spod rozpiętego kołnierzyka koszuli wystawały mu kręcone czarne włosy.

— Powiedział coś? — zapytał, po czym wyjął z papierowej torby butelkę szkockiej, odkręcił nakrętkę i pociągnął łyk.

Giuseppe spojrział na zegarek: wpół do dziewiątej rano.

— Czy wygląda, jakby mógł coś powiedzieć, Tommy? — zapytał. Twarz Jake'a była poobijana. Głowa opadała mu na pierś.

— Nie chciałem złamać mu szczęki — powiedział Tomasino.

— Daj mu się napić — poradził Giuseppe. — Zobacz, czy to pomoże.

Jake siedział na podłodze, z podwiniętymi nogami, oparty o ścianę. Tommy wywłókł go z hotelowego pokoju o szóstej rano i Jake wciąż miał na sobie jedwabną piżamę w czarno-białe paski, w której położył się spać poprzedniej nocy, tyle że teraz dwa górne guziki były oderwane i wystawała spod niej muskularna pierś o połowę młodszego od Giuseppego, trzydziestoletniego mężczyzny. Kiedy Tommy ukląkł przy

nim i uniósł lekko jego głowę, by móc mu wlać szkocką do gardła, Giuseppe popatrzył na niego z zainteresowaniem. Zastanawiał się, czy alkohol okaże się pomocny. Wysłał Tommy'ego do samochodu po szkocką, kiedy Jake zemdlał. Teraz rozkaszał się, plamiąc kropelkami śliny pierś, po czym łypnął przez spuchnięte powieki i powiedział coś, czego nie sposób byłoby zrozumieć, gdyby nie powtarzał tych samych trzech słów przez cały czas, kiedy go bili.

— To mój ojciec — wymamrotał, choć zabrzmiało to bardziej jak „dołu ociee”.

— Tak, wiemy o tym. — Tommy spojrzał na Giuseppego. — Trzeba mu przyznać, że jest lojalny.

Giuseppe przyklęknął przy nich.

— Jake — powiedział. — Giacomo. Przecież i tak go znajdę. — Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i użył jej, by nie zakrwać sobie rąk, kiedy obracał twarz chłopaka w swoją stronę. — Dni twojego starego, dni Rosaria, dobiegły końca. Nie możesz na to nic poradzić. Rosario jest już skończony. Rozumiesz mnie, Jake?

— *Si* — odparł Giacomo, tę jedną sylabę wymawiając całkiem wyraźnie.

— No dobrze — podjął Giuseppe. — Gdzie on jest? Gdzie się ukrywa ten sukinsyn?

Giacomo spróbował poruszyć prawym barkiem, który był złamany, i jęknął z bólu.

— Gadaj, gdzie on jest, Jake! — wrzasnął Tommy. — Co się z tobą, do diabła, dzieje?

Giacomo otworzył szerzej oczy, jakby chciał zobaczyć, kto się na niego wydziera.

— Dołu ociee — wymamrotał.

— *Che cazzo!* — zaklął Giuseppe, podnosząc w górę ręce. Przez chwilę patrzył na Jake'a i słuchał jego chrapliwego oddechu. Z ulicy dobiegały krzyki dzieci bawiących się w berka. Giuseppe spojrzał na Tommy'ego i wyszedł z mieszkania. Na korytarzu zaczekał do chwili, gdy rozległ się trzask tłumika podobny do dźwięku uderzającego w drzewo młotka. Tommy dołączył do niego po chwili. — Jesteś pewien, że już po nim? — zapytał Giuseppe, zakładając kapelusz tak, jak lubił, z opuszczonym rondem.

— A jak myślisz, Joe? — odparł Tommy. — Że nie znam się na swojej robocie? — Kiedy Giuseppe nie odpowiedział, przewrócił oczyma. — Odstrzeliłem mu czubek głowy. Mózg rozprysnął się na wszystkie strony.

— Nie zdradził ojca — powiedział Giuseppe, zatrzymując się na podeście pierwszego piętra. — Trzeba mu to przyznać.

— Był twardy — zgodził się Tommy. — Nadal uważam, że powinienes dać mi popracować nad jego zębami. Mówię ci, nie ma chojraka, który nie zacząłby mówić po czymś takim.

Giuseppe wzruszył ramionami, dając mu do zrozumienia, że być może ma rację.

— Jest jeszcze drugi syn — powiedział. — Posuwamy się w tej sprawie do przodu?

— Na razie nie — odparł Tommy. — Możliwe, że ukrywa się razem z Rosariem.

Giuseppe dumiał przez chwilę o drugim synu Rosaria, a potem wrócił myślami do Jake'a LaContiego, którego nie udało się skłonić do zdradzenia ojca.

— Wiesz co? — zwrócił się do Tomasina. — Zadzwoń do jego matki i powiedz, gdzie może go znaleźć. Niech

wezmą dobrego trumniarza — dodał po chwili zastanowienia — i ładnie go poskładają. Mogą urządzić piękny pogrzeb.

— Nie wiem, czy uda im się go poskładać, Joe — mruknął Tommy.

— Jak się nazywał ten przedsiębiorca pogrzebowy, który tak ładnie zajął się O'Banionem? — zapytał Giuseppe.

— Tak, wiem, o kogo ci chodzi.

— Skontaktuj się z nim — polecił Giuseppe i poklepał Tommy'ego po piersi. — Sam się tym zajmę, pokryję wszystkie koszty. Rodzina nie musi nic wiedzieć. Powiedz mu, żeby zaproponował im swoje usługi za darmo, bo Jake był jego przyjacielem i tak dalej. Możemy chyba to tak załatwić?

— Jasne — odparł Tommy. — To bardzo wielkodusznie z twojej strony, Joe — dodał i poklepał Giuseppego po ramieniu.

— No dobrze. To by było na tyle — powiedział Giuseppe i zbiegł na parter, przeskakując po dwa schodki jak młody chłopak.

2

Sonny siadł wygodniej za kierownicą ciężarówki i nasunął na czoło rondo kapelusza. To nie była jego ciężarówka, ale nikt nie powinien go tu o to pytać. O drugiej w nocy na tym odcinku Jedenastej Alei było pustawo, jeśli nie liczyć przemykających co jakiś czas na chwiejnych nogach pijaków. W którymś momencie mógł go minąć patrol, ale Sonny miał zamiar zsunąć się wtedy na siedzeniu i nawet gdyby gliniarz go zauważył, co było mało prawdopodobne, wziąłby go za jakiegoś odsypiającego sobotnie pijaństwo łobuza, co nie odbiegało zbytnio od prawdy, ponieważ rzeczywiście ostro uderzył w gaz. Ale nie czuł się wcale pijany. Był dużym chłopakiem — w wieku siedemnastu lat miał sto osiemdziesiąt trzy centymetry wzrostu, barczyste ramiona i mocną głowę. Otworzył szybę, by wiejąca od Hudson rześka bryza nie pozwoliła mu zasnąć. Był zmęczony i kiedy tylko oparł się o szeroką kierownicę, zaczął go morzyć sen.

Godzinę wcześniej popijał w Juke's Joint w Harlemie razem z Corkiem i Nikiem. A jeszcze godzinę wcześniej w nielegal-

nym barze gdzieś w śródmieściu, dokąd Cork zabrał go po tym, jak stracili razem prawie sto dolców, grając w pokera z Polakami na Greenpoincie. Kiedy Cork oświadczył, że on i Sonny muszą wyjść, dopóki jeszcze mają koszule na plecach, wszyscy wybuchnęli śmiechem. Sonny też się roześmiał, choć sekundę wcześniej miał ochotę zarzucić największemu siedzącemu przy stole Polakowi, że jest cholernym oszustem. Cork, który znał dobrze Sonny'ego, wyciągnął go stamtąd, nim ten zrobił coś głupiego. Kiedy wylądowali u Juke'a, nie był zalany, ale niewiele mu brakowało. Po paru tańcach i kilku kolejnych drinkach uznał, że na dziś wystarczy i szykował się do wyjścia, kiedy kumpel Corka zatrzymał go przy drzwiach i powiedział o Tomie. Sonny o mało mu nie przywalił, ale w ostatniej chwili opanował się i wcisnął mu zamiast tego parę dolców. Chłopak dał mu adres i Sonny siedział teraz w jakiejś poobijanej przedpotopowej ciężarówce, obserwując przesuwające się za zasłonami mieszkania Kelly cienie.

Wewnątrz mieszkania Tom zaczął się ubierać. Kelly O'Rourke przemierzała pokój, owinięta w prześcieradło, które przyciskała do biustu i które podwinęło się pod jedną pierś i wlokło za nią po podłodze. Była pozbawioną gracji dziewczyną o niesamowicie pięknej twarzy — nieskazitelnej cerze, czerwonych wargach, niebieskozielonych oczach i jasnorudych lokach — i w tym, jak przechadzała się po pokoju, było coś dramatycznego, zupełnie jakby występowała w jakimś filmie i wyobrażała sobie, że Tom to Cary Grant albo Randolph Scott.

— Ale dlaczego musisz już iść? — zapytała po raz któryś z rzędu, dotykając ręką czoła, jakby mierzyła sobie temperaturę. — W środku nocy, Tom. Dlaczego w środku nocy porzucasz dziewczynę?

Tom włożył podkoszulek. Łóżko, z którego dopiero co wstał, przypominało raczej pryczę, na podłodze leżały porozrzucone czasopisma, w większości numery „Saturday Evening Post”, „Grand” i „American Girl”. Leżąc u jego stóp Gloria Swanson spoglądała ponętnie z okładki starego numeru „The New Movie”.

— Laleczko — powiedział.

— Nie mów do mnie „laleczko” — odpaliła Kelly. — Wszyscy mówią do mnie „laleczko”. — Oparła się o ścianę przy oknie, puściła prześcieradło, które opadło na podłogę, i wysunęła do przodu biodro, stając przed nim w wyzywającej pozie. — Dlaczego nie chcesz ze mną zostać, Tom? Co z ciebie za facet?

Tom włożył koszulę i gapiąc się na Kelly, zaczął ją zapinać. W jej oczach płonął niepokój i szczypta szaleństwa, jakby oczekiwała, że lada chwila może się zdarzyć coś zaskakującego.

— Jesteś chyba najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek spotkałem — powiedział.

— Nigdy nie byłeś z kimś ładniejszym ode mnie?

— Nigdy nie byłem z dziewczyną piękniejszą od ciebie — przyznał Tom. — Nigdy w życiu.

Niepokój zniknął w tym momencie z jej oczu.

— Zostań ze mną na całą noc, Tom — poprosiła. — Nie odchodź.

Tom usiadł na skraju łóżka, przez chwilę się nad tym zastanawiał, po czym włożył buty.

Sonny patrzył, jak światło padające z latarni z kutego żelaza odbija się od biegnących ulicą szyn. Opierając rękę na dźwigni zmiany biegów, przypomniał sobie, jak w dzieciń-

stwie siedział na chodniku i gapił się na przejeżdżające Jedenastą Ulicą pociągi towarowe i na nowojorskiego konnego policjanta, który pilnował, żeby pijacy i małe dzieci nie wpadli pod ich koła. Kiedyś zobaczył stojącego na dachu jednego z wagonów mężczyznę w dziwacznym ubraniu. Pomachał do niego, a mężczyzna skrzywił się i splunął, jakby widok Sonny'ego wzbudził w nim odrazę. Kiedy zapytał matkę, dlaczego ten facet tak się zachował, machnęła ze zniecierpliwieniem ręką. „*Sta'zitt'!* Jakiś *cafón* pluje na chodnik, a ty mnie o to pytasz? *Madon'!*”, zawołała i odeszła zagniewana, co było jej typową reakcją na większość pytań, które zadawał jako dziecko. Miał wrażenie, że każde wypowiedziane przez nią zdanie zaczyna się od „*Sta'zitt'!*”, „*Va fa' Napule!*” albo „*Madon'!*”. W domu był wiecznym utrapieniem, intruzem albo *scucc'* i dlatego starał się jak najwięcej czasu spędzać na dworze, biegając po ulicach z dziećmi z sąsiedztwa.

Będąc teraz w Hell's Kitchen i przyglądając się domom po drugiej stronie ulicy, sklepom na parterze oraz dwóm lub trzem piętrom, gdzie były mieszkania, wrócił myślami do swojego dzieciństwa, do okresu, gdy ojciec wstawał co dzień rano i jechał na Hester Street, do swojego kantoru w magazynie, gdzie wówczas pracował — choć oczywiście teraz, kiedy Sonny dorósł, to, co myślał o ojcu i o tym, jak zarabia na życie, wyglądało zupełnie inaczej. Wtedy wydawało mu się, że ojciec jest biznesmenem i że on oraz Genco Abbando są właścicielami firmy Genco Pura Olive Oil. W tamtym czasie, widząc ojca na ulicy, podbiegał do niego, brał za rękę i trąkotał o wszystkim, co zajmowało jego dziecinny umysł. Widział, jak traktowali go inni ludzie i pękał z dumy, bo Vito był wielką szychą, miał własną firmę i wszyscy, wszyscy co

do jednego, darzyli go szacunkiem. Dlatego jeszcze jako chłopiec Sonny zaczął się uważać za kogoś w rodzaju księcia. Syna wielkiej szczy. Miał jedenaście lat, kiedy to wszystko się zmieniło, a może lepiej byłoby powiedzieć, przeobraziło, bo nadal uważał się za księcia — choć teraz oczywiście za księcia innego rodzaju.

Po drugiej stronie ulicy, w mieszczącym się nad zakładem fryzjerskim mieszkaniu Kelly O'Rourke, za znajomą kratownicą schodów przeciwpożarowych, jakaś postać stanęła przy zasłonach i lekko je uchyliła. Sonny zobaczył smugę jaskrawego światła, skrawek nagiego bladoróżowego ciała i rude włosy i nagle odniósł wrażenie, że znajduje się w dwóch miejscach naraz: siedemnastoletni Sonny gapił się w częściowo zasłonięte okno mieszkania Kelly O'Rourke na pierwszym piętrze, a jedenastoletni Sonny leżał na schodach przeciwpożarowych i patrzył z góry przez okno na to, co działo się na zapleczu baru Murphy'ego. Jego wspomnienie z baru Murphy'ego tamtej nocy momentami pozostało bardzo wyraziste. Pora nie była późna, wpół do dziesiątej, najwyżej dziesiąta. Zaraz po tym, jak położył się do łóżka, usłyszał, że ojciec i matka zamieniają ze sobą parę słów. Niezbyt głośno; mama nigdy nie podnosiła głosu na tatę i nie usłyszał, co mówi, lecz poznał po tonie, że jest zdenerwowana albo zmartwiona — dzieci zawsze wyczuwają takie rzeczy. Potem był odgłos otwieranych i zamykanych drzwi i kroki taty po schodach. W tamtym czasie nikt nie stał na posterunku przy frontowych drzwiach, nikt nie czekał w wielkim packardzie albo czarnym ośmiocyndrowym essexie, żeby zabrać tatę wszędzie, gdzie chciał pojechać. Tamtej nocy Sonny zobaczył przez okno, jak ojciec wychodzi przez frontowe drzwi, zbiega

po schodach i rusza w stronę Jedenastej Ulicy. Kiedy skręcił za rogiem i zniknął, Sonny był już w ubraniu i zbiegał po schodach przeciwpożarowych.

Dopiero kilka przecznic od domu zaczął się zastanawiać, co takiego wyprawia. Gdyby ojciec go zobaczył, sprawiłby mu niezłe lanie i miałby rację. Był na dworze, na ulicy, w porze, gdy powinien leżeć w łóżku. Sonny zwolnił i już chciał zawrócić, ale ciekawość wzięła w końcu górę i naciągawszy wełnianą czapkę na czoło, śledził dalej ojca, starając się kryć w cieniu i skradając się za nim w odległości całej przecznicy. Kiedy znaleźli się w miejscu, gdzie mieszkali Irlandczycy, jego poziom czujności wzrósł o kilka kresiek. Nie wolno mu było się tu bawić i nie zrobiłby tego, nawet gdyby mu pozwolono, bo wiedział, że włoskie dzieci nieraz dostawały tu manto, i słyszał opowieści o chłopakach, którzy przepadli w irlandzkiej dzielnicy i dopiero po paru tygodniach wyłowiono ich ciała z Hudsonu. Oddalony od niego o całą przecznicę ojciec szedł szybko, trzymając ręce w kieszeniach, z postawionym kołnierzem marynarki, który chronił go przed wiejącym od rzeki zimnym wiatrem. Sonny podążał za nim prawie do samego nabrzeża. Nagle zobaczył, że ojciec zatrzymuje się przed ceglanym budynkiem ze sfatygowanymi drewnianymi drzwiami. Sonny przyczał się w jakiejś niszy przy wejściu do sklepu i czekał. Kiedy drzwi otworzyły się i ojciec wszedł do baru, ze środka buchnęły głośne śmiechy i śpiewy mężczyzn, które przycichły po zamknięciu drzwi, ale nadal było je słychać, tyle że stłumione.

Straciwszy z oczu ojca, Sonny kulił się przez chwilę w mroku, lecz już po kilku sekundach przeciął brukowaną ulicę i skręcił w zaśmieconą alejkę. Nie potrafił dokładnie

wytłumaczyć, co sobie wyobrażał, poza tym, że bar musiał mieć jakieś tylne wyjście i liczył, że coś tam zobaczy — i rzeczywiście z tyłu budynku odkrył drzwi i zasłonięte okno, przez które padało na alejkę żółtawe światło. Ponieważ przez okno nie było nic widać, wdrapał się na ciężki metalowy pojemnik na śmieci, a stamtąd na najniższy szczebel schodów przeciwpożarowych. Chwilę później, leżąc na brzuchu, zerkał przez szparę między górną krawędzią okna i zasłoną do jasno oświetlonego pomieszczenia. Znajdowało się tam mnóstwo drewnianych skrzyń i kartonów, a ojciec stał z rękoma w kieszeniach i mówił coś spokojnie do mężczyzny, który był chyba przywiązany do drewnianego krzesła. Sonny znał tego faceta. Widywał go w okolicy z żoną i z dziećmi. Jego ręce były niewidoczne za krzesłem i Sonny domyślił się, że są związane. W pasie i na wysokości piersi w pogniecioną żółtą marynarkę faceta wrzynał się sznur do bielizny. Krew płynęła z wargi, a głowa opadała w dół, jakby był śpiący albo pijany. Przed nim na drewnianych skrzynkach siedział z wściekłą miną wujek Sonny’ego, Peter, a obok stał ze skrzyżowanymi na piersi rękoma wujek Sal, mierząc mężczyznę ponurym spojrzeniem. To, że wujek Sal był ponury, nie powinno dziwić, zawsze sprawiał takie wrażenie, ale wściekła mina wujka Petera zaskoczyła Sonny’ego. Wujkowi Peterowi uśmiech nigdy nie schodził z twarzy i zawsze miał na podorzędu jakąś wesołą historyjkę. Zafascynowany zerkał ze swojej kryjówki, widząc ojca i wujów na zapleczu baru, z przywiązanym do krzesła facetem z sąsiedztwa. Nie miał pojęcia, co się dzieje. Najmniejszego pojęcia. A potem ojciec położył rękę na kolanie mężczyzny i przyklęknął przy nim, a tamten splunął mu w twarz.

Vito Corleone wyjął z kieszeni chustkę i wytarł twarz. Stojący za nim Peter Clemenza podniósł leżący na podłodze łom.

— Starczy! — powiedział. — Szkoda więcej czasu na tę kanalię!

Vito podniósł rękę, kazać Peterowi się wstrzymać.

Clemenza poczerwieniał na twarzy.

— Vito! — mruknął. — *V'fancul'!* Nic nie zdziałasz z tym twardogłowym Irlandcem.

Vito spojrzał na zakrwawionego faceta, a potem w okno, jakby wiedział, że Sonny siedzi tam na schodach przeciwpożarowych i go obserwuje — choć w rzeczywistości nie miał o tym pojęcia. Nie widział nawet okna i wiszącej w nim nędznej zasłony. Myślał o mężczyźnie, który właśnie splunął mu w twarz, o Clemenzy, który go obserwował, i o stojącym za nim Tessiu. Obaj go obserwowali. Pokój był jaskrawo oświetlony zwisającą z sufitu gołą żarówką, włączający ją metalowy łańcuszek kołysał się nad głową Clemenzy. Zza okutych drewnianych drzwi dochodziły śmiechy i śpiew mężczyzn w barze.

— Nie jesteś rozsądny, Henry — powiedział Vito do mężczyzny. — Musiałem poprosić Clemenzę, żeby wyświadczył mi tę uprzejmość i nie połamał ci nóg.

— Nic wam nie jestem winien, makaroniarze — przerwał mu Henry, nim Vito zdążył powiedzieć coś więcej. Choć był pijany, w jego mowie słyszało się wyraźnie charakterystyczny irlandzki zaśpiew. — Możecie wracać na tę waszą ukochaną jebaną Sycylię — dodał — i jebać wasze ukochane sycylijskie matki.

Clemenza dał krok do tyłu. Robił wrażenie raczej zdumionego niż wściekłego.

— Vito, ten sukinsyn jest beznadziejny — powiedział Tessio.

Clemenza znowu złapał za łom i Vito znowu uniósł rękę. Tym razem Clemenza głośno parsknął i z jego ust popłynął długi strumień włoskich przekleństw. Vito zaczekał, aż skończy, a potem odczekał jeszcze kilka chwil, zanim Clemenza na niego spojrzał. W milczeniu wytrzymał jego wzrok, po czym znów odwrócił się do Henry'ego.

Kuląc się z zimna na schodach przeciwpożarowych, Sonny przycisnął ręce do piersi. Zerwał się wiatr i zaraz mogło zacząć padać. Od rzeki niosło się długie niskie buczenie okrętowej syreny. Ojciec Sonny'ego był średniego wzrostu, lecz potężnej postury, z masykarnymi barkami i ramionami — pamiętką po tym, jak pracował na kolei. Czasami siadał na łóżku Sonny'ego i opowiadał mu historie z czasów, gdy łądował i rozładowywał wagony. Tylko szalenieć ośmieliłyby się splunąć mu w twarz. To był jedyń sposób, w jaki Sonny mógł wytłumaczyć sobie coś tak bulwersującego: siedzący na krześle mężczyzna musiał być szalony. Ta myśl trochę go uspokoiła. Przez chwilę czuł lęk, bo nie potrafił zrozumieć tego, co zobaczył, lecz potem ujrzał, jak ojciec ponownie klęka i zwraca się do mężczyzny. W jego postawie rozpoznał powagę i determinację, którą widywał u ojca, gdy chodziło o coś ważnego, co Sonny powinien zrozumieć. Poczł się pewniej, tłumacząc sobie, że facet jest szalony, a ojciec próbuje przemówić mu do rozsądku. Wierzył, że łała chwila mężczyzna pokiwa głową, ojciec każe go rozwiązać i spór, który ich poróżnił, zostanie zażegnany, bo przecież po to w ogóle wezwano tam ojca: żeby coś naprawił, rozwiązał problem. Wszyscy w okolicy wiedzieli, że Vito Corleone rozwiązuje

problemy. Słyszał z tego. Sonny obserwował rozgrywającą się na jego oczach scenę i oczekiwał, że ojciec wszystko naprawi. Ale mężczyzna zaczął się szarpać na krześle i jego twarz wykrzywiła wściekłość. Wyglądał niczym zwierzę usiłujące zerwać się z więzów, a potem poderwał nagle głowę i ponownie splunął na ojca Sonny'ego, krwawą śliną, tak że mogło się здаwać, iż udało mu się zranić Vita, choć w rzeczywistości krew była jego własna. Sonny widział, jak pecyna śliny wyleciała z ust mężczyzny. Widział, jak rozprysła się na twarzy ojca.

To, co zdarzyło się potem, było ostatnią rzeczą, którą Sonny zapamiętał z tamtej nocy. Było to jedno z owych wywodzących się z dzieciństwa wspomnień, które z początku są dziwne i tajemnicze i dopiero później, wraz z nabyciem doświadczenia, nabierają sensu. W tamtym momencie Sonny nie wiedział, co o tym sądzić. Ojciec wyprostował się, otarł ślinę z twarzy, spojrzał na mężczyznę, po czym odwrócił się do niego plecami i odszedł, ale tylko na kilka kroków, do tylnych drzwi, przy których stanął bez ruchu. Wujek Sal wyciągnął z kieszeni marynarki poszwę na poduszkę. Wujek Sal był z nich wszystkich najwyższy, ale chodził zawsze pochylony, z wiszącymi po bokach rękoma, jakby nie wiedział, co z nimi zrobić. Poszwa na poduszkę, wyszeptał na głos Sonny. Wujek Sal stanął za krzesłem i naciągnął poszwę na głowę mężczyzny. Wujek Peter podniósł łom i to, co wydarzyło się później, częściowo się zatarło. Sonny zapamiętał wyraźnie kilka rzeczy: wujka Sala naciągającego poszwę na głowę mężczyzny, wujka Petera biorącego zamach łomem, poszwę, która zrobiła się nagle czerwona, jaskrawoczerwona, i dwóch wujków pochylających się nad siedzącym na krześle

facetem, krzątających się przy nim, rozwiązujących sznury. Poza tym nie pamiętał niczego. Później pobiegł chyba z powrotem do domu i położył się do łóżka, ale nic z tego nie pamiętał. Wszystko aż do poszwy było wyraźne, a potem rozmazywało się i zupełnie zacierało w pamięci.

Bardzo długo Sonny nie rozumiał, co wtedy zobaczył. Długie lata zajęło mu poskładanie wszystkiego do kupy.

Po drugiej stronie Jedenastej Ulicy, nad zakładem fryzjerskim, zasłona nagle poruszyła się i odsunęła i z okna wyjrzała Kelly O'Rourke — cudowne mgnienie jasnego kobiecego ciała na tle brudnej ceglanej ściany, czarnych schodów przeciwpożarowych i ciemnych okien.

Kelly spojrzała w ciemność i dotknęła brzucha, co robiła nieświadomie od kilku tygodni, próbując wyczuć trzepotanie życia, które tam się wykluwało. Przesunęła palcami po napiętej skórze i starała się zebrać rozproszone myśli. Jej rodzice i bracia dawno się jej wyrzekli, być może z wyjątkiem Seana, więc dlaczego miałoby ją obchodzić, co sobie myśla? Wzięła w klubie jedną z tych niebieskich tabletek i poczuła się po niej lekka i zwiwna. Myśli rozpieczęły się na wszystkie strony. Przed sobą widziała tylko ciemność i własne odbicie w szybie. Było późno i wszyscy zawsze zostawiali ją samą. Przycisnęła dłoń płasko do brzucha, próbując coś wyczuć. Choć bardzo się starała, nie była w stanie zebrać myśli, zatrzymać ich w jednym miejscu.

Tom stanął za nią i zasunął zasłony.

— Daj spokój, skarbie — powiedział. — Dlaczego to robisz?

— Dlaczego co robię?

— Stajesz tak w otwartym oknie.